

Andrzej Kwietniewski

BLONDYNKA
z miasta Łodzi



Redakcja i projekt okładki:
Andrzej Kwietniewski

Fotografie na okładce:
Andrzej Świetlik

www.blondynka.ksiezy-mlyn.com.pl
© Copyright by Andrzej Kwietniewski

e-mail: rafalmartens@o2.pl

ISBN 978-83-61253-17-4



KSIĘŻY MŁYN Dom Wydawniczy Michał Koliński
90-345 Łódź, ul. Księży Młyn 14
tel./fax (0-42) 632 78 61, 630 71 17, tel. 0-602 34 98 02
infolinia: 0-604 600 800 (codziennie 8-22, także sms), gg. 4147954
www.ksiezy-mlyn.com.pl; e-mail: biuro@ksiezy-mlyn.com.pl

Łódź	rok:	2011	2010	2009	2008	ostatnia					
Wydanie I	rzut:	9	8	7	6	5	4	3	2	1	liczba

Printed in Poland

Pragnę podziękować serdecznie następującym osobom:

Wiesi Szczurtek i Piotrowi Dopierale oraz Jasiowi Klimczakowi za to, że przez wiele lat czułem się w pubie „Łódź Kaliska” jak w domu. Jadzi Błachowicz z Telewizji Łódzkiej za życzliwość i przybliżenie telewizyjnych realiów. A mgr Izie Bartnickiej za cenne rady z dziedziny psychologii oraz pełną wyrozumiałości krytykę moich literackich poczynań.

Wyjątkowe wyrazy wdzięczności należą się jednak ulicy Wschodniej, przy której miałem kiedyś przyjemność i honor mieszkać.

Nagie martwe ciało leżało w zimnej wodzie w wannie, a on klęczał przed tą wanną i patrzył. Mała czarno-biała fotografia, nieudolnie przybita gwoździkiem do ściany, przedstawiała długowłosego młodzieńca o szczupłej twarzy i wesołym spojrzeniu. Trup kobiety o przekrwionej spuchniętej twarzy i wywalonym obrzękłym języku obserwował go wylupiastymi oczami. On zaś czuł, że od rozlanej na posadzce wody coraz bardziej nasiąkają mu spodnie. Ale nie mógł się ruszyć z kolan, jakby zupełnie zeszytywniał. Jednocześnie zbierało mu się na wymioty i powracała tamta jesień sprzed lat.

Ten wspaniały tydzień ponad trzydzieści lat temu, gdy zamieszkali tu razem, tacy szczęśliwi i tacy młodzi. Te siedem późnych poranków, kiedy Wioletta po długiej, spoczonej nocy wciąż jeszcze wylegiwała się na wersalce, a on robił jej na powitanie herbatę, podsuwał parującą szklankę pod nos i pomrukiwał cichutko, że trzeba już wstać. Zaś jego ukochana udawała, że nic nie słyszy i czekała, dopóki się nie dopełni rytuał.

- Zbudź się, Śpiąca Królowno...
- Musisz mnie pocałować.

Wciągała go gwałtownie pod kołdrę. Kochali się w pośpiechu, niemalże bezgłośnie. Potem bez słowa palili powoli papierosy. Każdy swoje; ona Carmeny, a on Sporty.

- Nie odejdiesz beze mnie?
- Nie odejdę. Wrócę za kilka godzin.

– Martens, nie dotykaj niczego! – przypomniał mu się Król z przedpokoju.

Pomyślał, że teraz nie pija się już herbaty w takich szklankach. Że nie ma już koszyczków z metalu. Że może nawet wcale nie produkuje się szklanek. I że dzisiaj prawdopodobnie budziłby ją kubkiem kawy Nescafe.

Oderwał oczy od zdjęcia. Odwrócił głowę i rozejrzał się po łazience.

Czas zatrzymał się tutaj na dobre. Ten sam stółek, teraz złuszczone i żółkły, to samo prostokątne lustro, zardzewiałe i zmatowiałe po środku. Zaś na drzwiach, na zwi-sającym na żyłce ręczniku, te same blade róże, w które owijała się, wychodząc z kąpieli, i które porzucała dopiero pod kołdrą. Zasłony w pokoju trzymali przeważnie zaciągnięte – dlatego w dzień kochali się w głębokim półmroku, zaś w nocy zupełnie po ciemku. I jeszcze ta fotografia nad wanną. A na obrazku on, Rafał Martens, o kilkadziesiąt lat młodszy. To zdjęcie, tylko ono nie pasowało do wspomnienia sprzed lat.

Zerwał fotografię ze ściany i schował ją do kieszeni.

Mieszkanie wypełniło się postaciami policjantów od czarnej roboty. Fotograf, technik dochodzeniowy, lekarz, inni nie znani mu kryminalni. Oraz komisarz Król, współpracownik Martensa z „Morderstwa”. Spośród nich znał się jedynie z tym ostatnim, znali się nawet bardzo dobrze – zaś cała reszta stanowiła wyłącznie szarą masę anonimowych ludzi z policji. Dowody zbrodni; ślady, próbki, odciski – taka wiedza, pobieżna i powierzchowna – zadowalała go jak najbardziej, zwłaszcza, że wystarczała dla utrzymania wiarygodności programu. A panowie w mundurach nie interesowali go wcale.

– W porządku? – spytał go doktor od zwłok.

– W porządku.

Jednak nie było w porządku, od rana dokuczało mu pod żołądkiem, był przybity i niewyspany. Przycisnął bolące miejsce, wciągnął mocno powietrze.

Przeszło.

Spojrzał na Doxę, zapomniał nakręcić ją z rana.

– Która godzina?

– Dziewiąta.

Uzmysłowił sobie, że przepił pół dnia.

– Mów, Martens... – Król pobił gdzieś wzrokiem.

Król nigdy nie patrzył nikomu w oczy, jedynie podczas nagrywania programu zdarzało mu się spojrzeć wprost do kamery. Okupywał to jednak ogromnym wysiłkiem. Robili wspólnie magazyn w telewizji i pamiętał, że komisarz zawsze był taki, jakby go trochę nie było. Ostatnio widywali się rzadziej, ze studia każdy uciekał w swoją stronę; Martens przeważnie do „Łodzi Kaliskiej”, a komisarz do domu.

– Mów, Martens!

– Już mówię.

Martens przypalił Lucky Strike’a. i znowu chwycił go ból.

– Mogę zadać pytanie?

– Pytaj.

– Ustaliliście coś do tej pory?

– Ustaliliśmy. Denatka jest szefową „Dziewczyny”.

– Jakiej dziewczyny?

– Takie pisemko. Tygodnik.

– A ona?

– Ona to pani Beate Fraumann. Dwadzieścia dziewięć lat, obywatelka niemiecka.

– Tylko tyle?

– Na razie tyle.

– A dlaczego ta Fraumann taka pognieciona i woskowata?

– Refik...

– Rafał.

– Niech będzie: Rafał. Martens, umówmy się, ja pytam, a

ty odpowiadasz.

- No to pytaj.
- Proszę. Skąd się wzięło to twoje zdjęcie nad wanną?
- Z legitymacji.
- A konkretnie.
- Nie mam pojęcia.
- Nieprawda.
- Prawda.
- Mów, bo przymkniemy cię przewencyjnie.
- Ho, ho, ho! Już widzę te tytuły w gazetach: Redaktor Martens zamieszany i zatrzymany! Obwiniony zaprzecza! Z braku dowodów sąd zwalnia Martensa z aresztu! – Król, ja

nie mam o niczym pojęcia.

– To się wynoś! I weź mój parasol.

– Nie trzeba.

– Bierz. Ty zmokniesz, a mnie się oberwie od Mewy. Co tam u Mewy, *a propos?*

– Dziękuję. Ciągłe jest moją żoną.

– A co u Fatmy?

– To samo.

– Poligamista.

Król i doktor odeszli na stronę, zaś Martens poczuł się okropny i stary.

– Może to samobójstwo?

– Zabójstwo.

– Przyczyna zgonu?

– Zadzierzgnięcie.

– Spuchnięta jakaś.

– Gęba jak u menela.

– Ale za to blondynka.

– I dlatego nie żyje.

– Idiota!

– Spuścić wodę?

Z łazienki dobiegły go ponure odgłosy krzątającej się

policyjnej ekipy. Śmierć nie czyniła na nich jakiegokolwiek wrażenia – zajmowali się trupem, jak kukłą.

Żegnaj laleczko. A więc nazywałaś się Fraumann... Bezszelustnie zamknął drzwi od mieszkania.

Zatrzymał się na chwilę na schodach. Był pewien, że stał już dzisiaj przed tymi drzwiami. I że w zamku tkwił klucz, a on go wtedy przekręcił. Ale co potem? Spożywany od rana alkohol wyorywał mu luki w pamięci. Nie miał pojęcia, czy zaglądnął do korytarza, czy może jeszcze gdzieś dalej, nawet do tej przeklętej łazienki. Nie mógł sobie przypomnieć, o której tu przyszedł, i po co. Przed oczami znów stanęła mu nieżywa opuchnięta kobieta i obleciał go strach, że jednak ma coś wspólnego z tą zbrodnią. Ruszył szybko do wyjścia.

Na klatce schodowej przepaliły się wszystkie żarówki. Wówczas również nie paliła się żadna. Macając odrapane, sypiące się ściany i czepiając lepkiej od brudu poręczy, z trudem zwłóknął się na parter. Wszystko wokół było ponure, wilgotne i szare. Listopadowa, zacinająca mżawka, cofnęła go z powrotem do bramy.

W prawą ścianę wstawiono nowe przeszklone drzwi. Napis nad wejściem oznajmiał: „Studio Fryzury – Agnieszka Krzak”. W środku żarzyło się nikłe światło. Tuż obok spisu mieszkańców umieszczono niedużą gablotkę. Identyczne, natapirowane blond bóstwa, przyglądały mu się ze zdjęć.

Same Pamele Anderson, Violetty Villas i Barbie. Byłem tu po południu i chciałem się ostrzyc – skonstatował przytomnie.

Około czternastej wszedł do tego „Studia Fryzury” – z ciekawości, żeby znowu zobaczyć stare kąty. Przed trzydziestu laty mieściło się tu zwyczajne mieszkanie, ale wróciły wspomnienia i coś go pchnęło do środka. Wnętrze zupełnie nie pasowało do reszty; było sterylne i nowoczesne. Powiesił płaszcz, klapnął na kanapce pod ścianą. Potem zdjął marynarkę, poluzował węzeł krawata i odpiął guzik koszuli przy

szyi. Rzucił okiem na zeszlóroczne szczytane czasopisma i rozejrzał się wokół.

Na fotelu przed lustrem spoczywała oryginalna, ubrana na czarno, dość atrakcyjna brunetka. Fryzjerka myła jej długie włosy. Na drugim fotelu rozsiadł się łysawy jegomość. Ubrany w zielony wojskowy mundur, z twarzą spaloną słońcem, zachowywał się dosyć swobodnie; grzebał we fryzjerskich narzędziach i bawił się flaszkami na półce. Był tu najprawdopodobniej prywatnie, bowiem jego przystrzyżona na jeża resztką włosów najwyraźniej nie potrzebowała maszynki. Na prawym pagonie wygniecionej i wypłowiałej marynarki miał dwie przepisowe krokiewki i belkę, a na lewym belkę i zaledwie jedną krokiewkę.

Półstarszy sierżant sztabowy – skojarzyło się Martensowi przewrotnie.

– Przepraszam, ale mam klientkę na dłużej. Jeżeli chce się pan ostrzyć, to trzeba poczekać ze dwie godziny. – Fryzjerka uśmiechnęła się obojętnie, prawdopodobnie wyłącznie do lustra.

Martens pozbierał przemoczone ubrania i z nadzieją na lepsze udał się do „Łodzi Kaliskiej”. Właściwie nie miał nic dzisiaj do roboty, więc postanowił kontynuować to nudne ni-jakie popołudnie pijąc wino i konwersując z barmanem.

Wtedy też ciągle lało... – pomyślał, próbując podpalić Lucky Strike'a. Zupełnie bez sensu, w tym przeciągu i deszczu.

Na odległym podwórku włączył się alarm, zapiał na chwilę i zdechł. Poza tym ulicę jakby wymiotło, paliła się co najwyżej jedna piąta latarni. W bramie po drugiej stronie ostrzyżony na jeża typek oganiał się od miejscowej gówniary. W końcu uderzył ją w twarz, zaś ona zaśmiała się histerycznie. Martensowi przyszło do głowy, że skądś zna tego gościa. On tymczasem widać także go dostrzegł i cofnął się szybko do cienia. Spod sklepu z winem naprzeciw odjechała rozklekotany samochód. Zostawił za sobą wijącą się, monstrialną kolejkę.

– Jest – zamruczał.

Butelka z ulubionym Terra Quente Colheita nadal tkwiła pod klapą marynarki.

Nic się tutaj nie zmienia. Wciąż brud, smród i ubóstwo – skojarzył bez jakiegokolwiek emocji – tylko trzydzieści kilka lat temu nie prowadzili tu sklepów z najtańszym bełtem. Za to na Włókienniczej wódkę trzymali w co drugiej bramie. A na melinach zdarzała się nawet Wiśniówka.

Za obdrapanymi, szerniałymi ze starości, odartymi z tynku murami, uparcie próbowało toczyć się jakieś życie. Przez szum deszczu przedzierał się płacz noworodka, z poddasza dobiegał wrzask kota. Pomyślał, że jego Fatma nigdy nie darła się w taki sposób. W kilku oknach zapłonęły światełka najbliższych w mieście żarówek. W wielu innych podobnych jednoizbowych mieszkaniach było jednak zupełnie ciemno. W wypełnionym deszczówką dziurawym asfalcie odbijały się błyski flesza. Uniósł głowę i spojrział w okna na piętrze.

– Król pracuje – bąknął pod nosem.

Rzucił okiem na rząd niemiłosiernie obtłukiwanych przez deszcz samochodów. Sięgnął po wino i spostrzegł ze smutkiem, że w butelce pozostało jedynie powietrze. Przy okazji wypadła mu z kieszeni fotografia znad wanny. Porwana przez wiatr, spłynęła rwącym rynsztokiem i zatrzymała się dopiero na kratce od ścieku. Zrezygnowany, wychylił się z bramy. W prawo, za skrzyżowaniem, być może istniała jeszcze „Cukiernia Turecka”. Wiele lat temu właściciele przyjaźnili się z rodzicami Martensa, i tylko tam, bez złej konotacji, wołali na niego Refik. Zaś w lewo, w kierunku Placu Wolności, powinien znajdować się bar.

W tamtych czasach nie było jeszcze pubów, jedynie mordownie albo knajpy. A ta najbliższa nazywała się „Marysieńka”. Była zawsze zadymiona, zimna i ciemna. Obciążone ceratą stoliki, popielniczki pełne najkrótszych petów, puste, pękate, ciemnobrązowe flaszki po piwie. Piwo nazywało się wtedy

„Piwo”, z informacją, że jest ono jasne i pełne albo ciemne i mocne. W tej konkretnej speluncie serwowano je w dowolnej ilości. W owych czasach nie było to takie oczywiste, jednak browar był niedaleko, nazywał się „Browar nr 1” i produkował obie tradycyjne odmiany; pasteryzowany „Porter” o pojemności pół litra i „Jasne Pełne” w zero trzydzieści trzy. Mimo tego, na wszelki wypadek brało się od razu po kilka butelek. Bo przecież w knajpie, jak w życiu – nic nie jest dane na zawsze.

Po tygodniu Wioletta niespodziewanie nie otworzyła mu drzwi. Więc – na zmianę – albo czekał na nią otepiały scho-dach, albo rozmyślał o bliskim już ślubie z Mewą, albo zapijał się w tej zasyfionej, śmierdzącej pijalni. Po dwóch dniach skumał się z panem udającym szatniarza, i usłyszał, że jakaś Wioletta mieszka w podwórku, gdzie produkują wielkie biu-stonosze na miarę. Więc popędził tam z rana i potem chodził po tym podwórku w kółko, całymi dniami.

Najgorsze były jednak ciągnące się noce. Wracał wtedy do mieszkania rodziców, i na wpół jawie, wpół śnie, nadal się przytulał z Wioletką. Zaś na drugi dzień na wszelki wypadek nie umawiał się z Mewą.

W rozmytej przez mgłę perspektywie ulicy przebijały się podświetlone napisy. Ale czy to był bar czy sklep, nie miał zupełnie pojęcia. Bo dzisiaj cały jego świat ograniczał się do Piotrkowskiej. Tam zamieszkał w reprezentacyjnej kamienicy nad Bliklem, tam w każdej bramie były restauracje i puby, a do „Łodzi Kaliskiej” było kilka kroków zaledwie.

– Nie ma rady...

Spojrzał pod nogi. Pod murem wałały się flaszki po przed-wczorajszym Zamkowym. Zdenerwowany dorzucił do nich swoją po Terra Quente, zamachnął się z całej siły i wykopał całe to szkło poza bramę.

Jego pierwsza wizyta u Wioletty także kojarzyła się z pewnym winem, z deserowym trunkiem Lacrima – mieszanką

najtańszych podłych gatunków z Bułgarii, spirytusu i cukru. Przypomnił sobie teraz najdrobniejsze detale, jakby po latach oglądał doskonale znany mu film. Tylko Wioletty nie zapamiętał dokładnie. Zostały mu po niej jedynie włosy, czerwona sukienka i przenikający wszystko zapach najtańszych perfum „Konwalia”.

Wykosztował się wtedy na Carmeny, po osiemnaście złotych za paczkę. I niby to rozglądał się po mieszkaniu, niby spoglądał na czubki palców, ale tak naprawdę gapił się wyłącznie na cycki – na jej dwa spore kształtne jabłuszka stecząc pod najmodniejszą bistorową dzianiną.

Podniecił się, niczym sztubak.

– Jak się czujesz?

– Dobrze.

– To dobrze.

– Usiądźmy.

Wygrzebał z torby zakupioną w kawiarni butelkę z Lacrimą. Przeplacił za nią trzydzieści złotych, bowiem złośliwa czy akuratna kelnerka policzyła mu wino na lampki. Zaś Wioletta przyniosła z kuchni dwie szklanki, osadzone w spiralnych aluminiowych koszyczkach.

– Tak dla skrócenia dystansu – połał w obydwie.

I wypróżnił obie do dna – ale jakoś zupełnie nie zadziało. Więc wygrzebał „Express Ilustrowany” i udawał, że czyta.

*Spontaniczna reakcja na apel Stacji Krwiodawstwa.
Dramatyczna walka o życie 22 letniego żołnierza.*

Obok widniało zdjęcie chłopaka ostrzyżonego na jeża.

Spojrzał na Wiolettę spod oka. Ale ona czekała spokojnie, nie ułatwiając zadania. Tymczasem Lacrima zrobiła swoje i podпиты już Martens rozpoczął podchody.

– Masz takie wspaniałe włosy.

Wyciągnął „Smienę”, przyłożył aparat do oka.

– Zupełnie jak jakaś amerykańska aktorka.

– Jak każda... – roześmiała się hałaśliwie.

Od początku urzekł go jej oryginalny chrapliwy głos; niski, niczym gitara basowa – a jednocześnie skrzekliwy, jak źle nastrojony radioodbiornik.

– Mogę pstryknąć ci zdjęcie?

– Wykluczone!

Zaprotestowała gwałtownie i uciekła do przedpokoju.

– Szkoda.

Schował aparat.

– Podaruj mi swoje.

Wróciła, uśmiechnęła się, próbowała załagodzić wrażenie.

– Na pamiątkę.

Wyciągnął legitymację i oderwał z niej fotkę.

– Ładne.

Wsunęła zdjęcie za stanik.

Objął ją mocno. Przysunęła się bliżej, przyłgnęła do niego plecami. Przez sukienkę z grubej krempliny chwycił ją od tyłu za piersi.

– Raczej nic z tego nie będzie.

– Ale dlaczego?

Znowu poczuł ten zapach konwalii.

– Mam powody.

– Narzeczony czy mąż?

– Nie, nie dlatego. Przecież nie znamy się wcale i nie chcę, żebyś coś sobie pomyślał.

– To powinniśmy się poznać.

– No dobrze. Byle cicho i szybko.

Położyli się na rozścielonej wersalce. Przeszkadzając sobie wzajemnie, porozbierali się i ukryli pod kołdrą.

– Zakochemy się w sobie?

– Oczywiście. Na pewno.

W stojącym na podłodze radia „Beata” bezustannie puszczali przebój tamtego lata, „Najtrudniejszy Pierwszy Krok” Anny Jantar.

- Wioletto, czyja ta chata?
 - Niczyja – parsknęła śmiechem i odwróciła się demonstracyjnie do ściany.
 - Mieszkasz tu sama?
 - Przeważnie.
 - Masz kogoś?
 - Kiedyś tu mieszkał kolega. Ale on chyba poszedł do wojska.
- No, ładnie! Kolega, który chyba poszedł do wojska. Nie dopytywał się dalej.
- Kochali się wtedy do rana – bez przerwy.

Przyjeżdżaj Martens. Mamy damskiego trupa w wannie, a ta sprawa dotyczy też ciebie. Bo tuż nad tym trupem wisi twój portret – wydzwonił go Król.

Powtórnie spróbował zapalić napęczniałego wodą Lucky Strike'a, lecz zawilgocone łebki zapalek tylko się lepily do draski. Wydawało się, że przejmująca chłodem jesienna siąpanina, porywisty wiatr i szarobure chmury zadomowiły się na Wschodniej na zawsze. Martens poczuł, jak powoli uchodzi z niego powietrze. Od pewnego czasu coraz częściej doświadczał trwającego godzinami zmęczenia, uparcie bolała go głowa i przypominała o sobie wątroba.

Wyjrzał na chodnik. W szybie „Studia Fryzury” zobaczył swoje zdeformowane odbicie. Wróciło wspomnienie. Wstąpił tu po południu, żeby się ostrzyc, ale się nie udało. Fryzjerka tłumaczyła, że ma klientkę na dłużej, a zacerwieniony i opuchnięty „półstarszy” sierżant sztabowy przytakiwał jej głową.

Martens przypomniał sobie, że po kilku pijanych godzinach powrócił jednak na Wschodnią, ale zamiast do „Studia Fryzury”, coś go popchnęło na piętro. Spod wejścia do mieszkania pod trójką uskoczyła wtedy gwałtownie czyjaś postać i bezszelestnie wbiegła na górę. A on przekręcił klucz w zamku i zajrzał do środka. Niestety, w pamięci pojawiła się potem-

czarna dziura.

Martens, przypomnij sobie, może to ty zabiłeś tą Fraumann? Może ją udusiłeś w pijanym widzie? I zostawiłeś na kluczu odciski palców – skulił się ze strachu i bólu.

– Refik, gdzie jest, kurwa, to zdjęcie?! – z piętra doleciał go rozpaczliwy krzyk Króla.

Wołał na niego Refik – zawsze, gdy chciał mu szczególnie dokuczyć.

– W dupie, pierdolony rasisto!

Kołała mu nerwy; nie wiedział, z nadmiaru wina, czy z braku.

Zaczął się trząść. Obserwował, jak bulgoczący wir wody próbuje wciągnąć jego gębę sprzed lat. Zaś rynsztokiem spływa ku niemu goła nieżywa Fraumann. Ciało miała obrzmiałe, skórę bezbarwną i pomarszczoną. Wywaliała spuchnięty język i łypała na niego wytrzeszczonymi oczami. Zatrząsał się z obrzydzenia. Wyciągnął fotografię z mętnej deszczówki i schował do kieszeni na piersi.

Koleś od bijatyki z siusiumajtką wciąż tkwił w bramie naprzeciw i uważnie rozglądał się wokół. Martens pomachał mu ręką i ruszył w kierunku Jaracza.

Z podwórka sąsiedniej posesji wyłonił się mężczyzna w skórzanym płaszczu i okularach *à la* Cybulski. Wsiadł w wielki czarny samochód i zaczął jechać powoli – wzdłuż krańcównika, nieopodal Martensa. Potem nagle przyspieszył, a przed skrzyżowaniem, bez jakiegokolwiek potrzeby, przyhamował gwałtownie. W szaroburej lepkiej poświacie zatańczyły ogromne czerwone stopy.

Pierwszy raz widzę tu taki samochód – zrezygnowany Martens naciągnął marynarkę na głowę. I, rozpryskując kałuże, powlókł się na Piotrkowską przez deszcz.